Adam Stawowy

Kilka słów o tekstach i ich autorze

Ponoć drzewa rozmawiają: te liściaste i te iglaste. Czy to prawda? Nie wiem. Ale szelest liści przypomina szept rozmowy na nasze ważne tematy: miłości, samotności, zwątpienia, śmierci. Więc kto wie?

Na co dzień jesteśmy racjonalni, lecz jak pisała Agnieszka Osiecka: „świat realny jest poznawalny … ale w kominie coś czasem załka". Tu daję Metafizykę przez małe „m", tą poważną niech się zajmują filozofowie.

Zatem przeczytajcie po prostu te moje krótkie teksty, gdy macie odpowiedni nastrój i kilka wolnych chwil.

Inne teksty na: www.adamstawowy.pl

Adam Stawowy

Wydawnictwo Poligraf

ISBN: 978-83-8159-386-1

9 788381 593861

Cena: 27 zł

Adam Stawowy

Rozmowy drzewi liściastych *albo* Metafizyka dla opornych

Adam Stawowy

Rozmowy drzew liściastych

albo

Metafizyka dla opornych

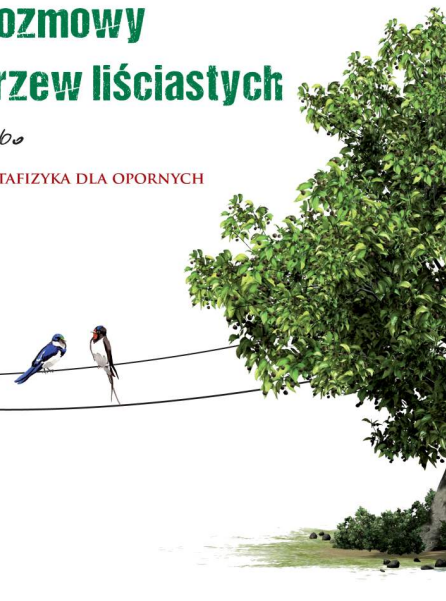

Wydawnictwo Poligraf

29.12.2019

metafizyka moja miła
gdy wędruję samotnie
a wiatr mierzwi
twoje wielobarwne włosy
albo
rozwiewa twój szalony szal

metafizyka moja miła
gdy wędruję samotnie
i mogę
w zmęczone dłonie
schwytać rozbawioną tęczę
albo
na jesiennej ścieżce
smakować delikatny walczyk
buczynowych listków

metafizyka moja miła
gdy wędruję samotnie
a ty
na zapomnianej drodze
unosisz lewą dłoń
pozdrawiając mnie
ja
półżywy bo trudna ta
zagłębiam się w twoje
złote ciepłe oczy

na pustej drodze

4.03.1978

starzejemy się
gdy większość zdań
zaczynamy od
a pamiętasz

starzejemy się
gdy rozmawiamy
o swoich dolegliwościach
i o wczorajszym pogrzebie

starzejemy się
gdy nie możemy już
iść z nią/nim do łóżka
i gdy dzieci wpadają
co parę tygodni
na święta
lub
po pieniądze

25.12.1978

a kiedy już
dzieci nie wrócą do domu
i na pewno
nie zamieszkają z nami
kupimy sobie
słodkiego pudelka
albo
syjamskiego kotka
żeby znów codziennie
móc troszczyć się

7.12.1979

odlecieli myśliwi
pociągnęli za słonkami
do cichej krainy

obok zakurzonych myśliwskich trofeów
strzelba dziadka rdzewieje na ścianie
blakną w pudełku stare fotografie
te z nagonką
i te przy ognisku
nie skwierczy już kiełbasa
i nie leje się wódka

teraz się włóczą po rajskich ostępach
stary myśliwy
ze swym wiernym wyżłem
lecz jak polować
na taką zwierzynę
co zestrzelona
nie pada na ziemię

13.09.1982

kiedy się uśmiechasz
albo raczej
kiedy zapłakana
bezradnie opuszczasz głowę

kiedy uczysz
naszą córeczkę tata
albo raczej
kiedy zagniewana
bez słowa wzruszasz ramionami

kiedy śpisz
grzbietem dłoni zakrywając oczy
albo raczej
kiedy słyszysz
mój spokojny oddech

wtedy rozumiem

14.07.1985

i cóż
że z okna autobusu
do bólu wytężam oczy
przecież babcia nie zapyta
czy duża woda na wiśle

i cóż
że z potu ocierając czoło
uważnie liczę snopy pszenicy
przecież babcia nie zapyta
ile postawiliśmy babek

pójdę na cmentarz
rzucę grudkę ziemi
babciu
wisła wylała
a pszenicę
powalił grad

3.10.1985

stare drzwi
nie zaskrzypią przyjaźnie
bo ten dom w wigilię
nie czeka na gości

przez zakurzone okno
nikt nie wygląda gwiazdy
ani ogień pod kuchnią
nie zaróżowi ścian

dziadek już nigdy
nie wyjdzie na próg
odszedł
na rajskich łąkach
doglądać gniadego
babcia już nigdy
nie wybieli izby
odeszła
bielić niebo
u wielkiego gospodarza

garbata chałupa
dogorywa powoli

Przeciwciała

Już przypadek Hobelki powinien dać mi wiele do myślenia, jednak – zajęty swoimi sprawami – nie zwróciłem nań większej uwagi. A szkoda, bo może uniknąłbym niemiłej sytuacji, w jakiej się później znalazłem.

Przed Świętami Wielkanocnymi Hobelka zapowiedziała w 7a powtórkę materiału z geometrii. Nikt specjalnie się tym nie przejął, bo trzeba wam wiedzieć, że Hobelka jest najłagodniejszą nauczycielką w naszej szkole. Nikt i nic nie jest w stanie wyprowadzić jej z równowagi, więc zawsze zachowuje wrodzoną pogodę ducha. Gdy kiedyś Wiesiek Zając skrócił ułamek w sposób, który nawet mnie – czołowemu antytalentowi matematycznemu budy – zjeżył włosy na głowie, Hobelka westchnęła tylko: „Wiesiu, Wiesiu, kiedyż ty się tego wreszcie nauczysz" i odesłała go na miejsce, nie stawiając pały. Z tego też względu lekcje matematyki były uważane za jedne z przyjemniejszych. Nie rozrabiano na nich zbytnio, sami rozumiecie: taka nauczycielka to skarb i przyjaciel ucznia.

Nic więc dziwnego, że tylko ta kujonka Jaśka Mazurek przygotowała się do powtórki. Reszta klasy w czasie ferii wielkanocnych miała inne zajęcia regenerujące nadwątlone nauką siły. Przede wszystkim urządzono śmigus-dyngus, który w Rozjazdach jest traktowany z wielką powagą. Poprzebierani chłopcy, tzw. śmigusnicy, zawsze skorzy do psot, cały dzień krążą wozami po ulicach, oblewając się nawzajem wodą i obrzucając zgniłymi jajami. Mówię wam, jest na co popatrzeć!

Matematyka w 7a wypadła na drugi dzień po feriach. Już wejście Hobelki do klasy nie było zwyczajne.

– Dzień dobry – rzuciła oschle, podczas gdy zawsze uśmiechała się dobrotliwie. Szybko usiadła przy biurku, błyskawicznie

sprawdziła obecność (nie zdrabniając przy tym imion!), i podyktowała zadanie: obliczyć pole powierzchni figury powstałej przez odjęcie od powierzchni koła o promieniu $r = 5$ cm wycinka koła o kącie 40 stopni.

Nikt jeszcze wtedy nie przypuszczał, że będzie to początkiem wydarzenia zwanego później „pogromem w 7a". Kilka osób próbowało protestować:

– Proszę pani, ale myśmy nie przerabiali takich zadań!

– Spokój – huknęła Hobelka, a najgłośniej protestującego Tadka Wójcika wezwała do tablicy.

Oczywiście Tadzio stał i ani be, ani me. Ze spokojem czekał na osławione „Tadziu, Tadziu, kiedyż ty się tego nauczysz", gdy wtem usłyszał:

– A więc nie umiesz, siadaj, dwója. I spróbuj tylko nie przygotować się na następną lekcję!

Oszołomiony Tadzio powlókł się do ławki, nie mogąc zrozumieć, co się właściwie stało. Następnie poszły: Marzenka Ogórek, Aśka Gąsiorek i Tereska Macioł. Sytuacja powtórzyła się. Z wolna blady strach padł na klasę: łabędzie sypały się jeden za drugim, a Hobelka zachowywała się jak swoje przeciwieństwo. Skończyło się na tym, że cała klasa, nie wyłączając Mazurkówny, zafasowała ndosty. Tego jeszcze w dotychczasowej historii budy nie było!

– Skompromitowaliście się dzisiaj – podsumowała egzekucję Hobelka. – Na następnej lekcji będziemy kontynuować powtórkę.

Zamknęła dziennik i wyszła, pozostawiając klasę w głębokim osłupieniu.

Wieść o sensacyjnym wydarzeniu w 7a lotem błyskawicy obiegła całą budę. Na przerwie przed 7a zebrały się tłumy, a siódmacy z wypiekami na twarzach relacjonowali przebieg fatalnej lekcji. Najbardziej wystraszona była 5b, która nazajutrz miała zapowiedziany sprawdzian z tabliczki mnożenia. Najgorliwsi natychmiast zaczęli wkuwać, ile jest 9 razy 7 czy 8 razy 13. Nie muszę dodawać, że tego popołudnia żaden piątoklasista nie skorzystał z uroków wiosennego słońca.

Okazało się, że zupełnie niepotrzebnie. Hobelka weszła do klasy, uśmiechnęła się jak zwykle, w normalny sposób sprawdziła obecność, po czym zaczęła pytać. Wszyscy umieli: nawet ten matoł Zygmuś Macięg wiedział, ile jest 7 razy 8! Tym razem oszołomiło Hobelkę, która rozczuliła się niebywale:

– Moi kochani, moi złoci, więc jednak potraficie się nauczyć – powtarzała co chwila.

Tym razem tłumy zgromadziły się pod 5b. Najbardziej zadowolone z przebiegu wypadków były obie klasy szóste, które miały matematykę nazajutrz. Potraktowano wydarzenie w 7a jako przypadkowy wybryk Hobelki spowodowany świątecznym przemęczeniem i szokiem wywołanym krótką przerwą w kontaktach z ukochanymi uczniami. Ależ nieprawdziwa była to interpretacja! Dość powiedzieć, że szóstacy doznali podobnie bolesnego pogromu jak 7a i oberwali same pały.

Konsternacja była całkowita, gdy następnego dnia w 8a odbyła się normalna, dobrze znana lekcja matematyki. Nikt nie umiał się połapać, o co w tym wszystkim chodzi, a Ekspert – jak na złość – był chory na grypę i nie chodził do szkoły.

Wydarzenia, o których wam opowiedziałem, rozegrały się w zeszłym tygodniu. W tym tygodniu było podobnie, tyle że na odwrót. Solniak, czyli Sól, nasz geograf, jest chyba najsurowszym członkiem Ciała, a i natura pozbawiła go – szczątkowego choćby – poczucia humoru. Zawsze poważny i surowy, nie ma pobłażania dla naszej niewiedzy, stąd pały na lekcjach gegry są zjawiskiem codziennym i pospolitym. I wyobraźcie sobie, że ten groźny Sól nie postawił żadnego ndosta na dwóch ostatnich lekcjach! A przecież były to lekcje powtórkowe w 5a i 7b. Co więcej, gdy Władek Kulka pomylił Włocławek z Wrocławiem, a pogórze z pomorzem, Sól parsknął śmiechem i śmiał się dobre

dwie minuty. Podobnie było w 7b, gdy Ekspert – znany ignorant geograficzny – plótł niestworzone rzeczy o kondorach w Apeninach i o Pigmejach na nie polujących, czym wzbudził niekłamaną wesołość Solniaka.

Wszystko to były wydarzenia bulwersujące, nie na tyle jednak, bym uznał je za groźne dla naszej trójki. Dopiero wczoraj wydarzyło się coś, co wyprowadziło mnie z równowagi.

Od rana nie czułem się zbyt dobrze, więc na dużej przerwie udałem się do ogrodu przyszkolnego: stała tam szopa na narzędzia, w której zdecydowałem się trochę odpocząć. Oddając się słodkiemu lenistwu, nie zwróciłem większej uwagi na wzmożone wrzaski dochodzące z boiska ani na – zapadłą po nich – niespotykaną ciszę. Wychodząc z szopy, nadepnąłem na grabie, które boleśnie walnęły mnie w nos. Zakląłem szpetnie i pobiegłem do ubikacji zrobić okład z zimnej wody.

Do klasy wpadłem już po dzwonku, tuż po wejściu Róży. Zdążyłem tylko pochwycić zdziwione spojrzenia klasy, nim rzuciłem się do ostatniej ławki pod oknem, którą zajmuję razem z Markiem. Ale Marka nie było – przeniósł się do Jaśka, który zwykle siedzi sam w ławce przed nami. Co więcej, odwróciwszy się do mnie, syknął: „zdrajca". Zauważyłem przy tym, że Jasio ma podbite oko i rozkwaszoną wargę. Przez całą lekcję zachodziłem w głowę, któż tak urządził Jaśka i dlaczego Marek nazwał mnie zdrajcą.

Ledwie zabrzmiał dzwonek, Marek i Jasio już byli przy mnie.

– Co ci strzeliło do głowy tak pobić Jaśka? – napadł na mnie Marek.

– Ja? Jasia?! Co ty bredzisz? – nie rozumiałem.

– Mówię ci, nie wygłupiaj się – ostrzegł mnie Marek. – Przecież na poprzedniej przerwie napadłeś Jasia i go poturbowałeś.

– Zdawało się wam. To nie ja.

– Coo?! Zdawało mi się! – wybuchnął Jasiek. – Zakładałem nelsona temu pętakowi Fąfali, gdy podszedłeś i kazałeś mi go

natychmiast puścić. Rzecz jasna, nadal robiłem swoje, a wtedy ty – oskarżycielsko wyciągnął palec – podstępnie mnie napadłeś i pobiłeś. O, o, tu mam ślady.

– Co ty gadasz?. Na przerwie byłem w ogrodzie.

– W ogrodzie! – zaszydził Marek. – A nos rozkwasiłeś sobie, wąchając kwiatki, tak? Wszyscy widzieli, jak podczas bójki Jasio przyłożył ci w kartofel!

Chłopcy, którzy do tej pory otaczali nas milczącym kręgiem, ożywili się.

– Tak było! Widzieliśmy.

– Nie wyprzesz się, Zdzichu.

Patrzyłem na nich jak na wariatów. Wtem do klasy wpadł Jurek Miernik z 4a: podbiegł do mnie i wysapał:

– Mi, Mi rek Stępniak bi, bije Piotrka Kmiecika z naszej kla, klasy...

– A co mnie to obchodzi? – nie mogłem pojąć. – Niech go trochę poćwiczy.

– To ty taki jesteś?! – zaperzył się Juruś. – Fąfalę to broniłeś, bo on piątoklasista, a nas to już masz gdzieś.

– Zmiataj, pętaku, bo ci przyłożę – zdenerwowałem się.

– No idź, nie wstydź się, obrońco uciśnionych – zakpił Jasio. – Kmiotek czeka!

Wszyscy ryknęli śmiechem. Śmiali się jeszcze, gdy do klasy wtargnęła woźna i oznajmiła:

– Komar do Pani Kierowniczki.

Zrobiło mi się trochę nieswojo, bo nikt nie lubi iść do gabinetu Nicy bez potrzeby. Zrobiłem krótki rachunek sumienia, ale nic szczególnego nie znalazłem. Tym razem miała krótką mowę.

– Cieszę się, że wreszcie zrozumiałeś niewłaściwość swojego postępowania i zacząłeś bronić młodszych kolegów przed napastliwością rozrabiaków. Martwię się tylko, czy nie przesadziłeś z tą zmianą – wiesz, co mam na myśli?

– Uhmmm – mruknąłem niepewnie, bo już domyślałem się, do czego pije.

– Nie chciałabym, abyś broniąc słabszych, podbijał oczy silniejszym. Radzę ci jakieś łagodniejsze środki, ot, choćby współpracę z nauczycielem dyżurnym. Będziesz o tym pamiętał, prawda, Zdzisiek? – Nica spojrzała mi w oczy.

– Oczywiście, pszę pani – burknąłem ze spuszczoną głową.

Całkiem przybity wróciłem do klasy. Jasiek i Marek nie chcieli ze mną nawet rozmawiać; mało pocieszał mnie fakt, że dziewczyny co chwilę zerkały na mnie z wyraźnym zainteresowaniem. Podświadomie czułem, że coś dziwnego dzieje się w budzie. Wiedziałem, że sam nie rozwiążę tej zagadki, więc na następnej przerwie udałem się do Eksperta, z którym mieliśmy podpisaną specjalną umowę: w zamian za zagwarantowaną nietykalność cielesną miał przewidywać niecne zamiary ciała pedagogicznego. Siedział w magazynku i robił jakieś piekielne doświadczenie z maszyną elektrostatyczną.

– Cześć, Romciu, mam sprawę do ciebie – przywitałem go.

– O rany, znowu ty – skrzywił się. – Przez wasze sprawy nie mam czasu poważnie popracować.

– Nie zawracałbym ci głowy jakąś błahostką – oburzyłem się. – Chciałbym, abyś wytłumaczył mi, co się tu właściwie dzieje.

– Co masz na myśli?

– No te przemiany Hobelki i Sola. A teraz to pobicie Jasia.

– To nie ty go tak urządziłeś?

– Pewnie, że nie! Byłem wtedy w ogródku. Zresztą, ja miałbym pobić swojego najlepszego kumpla?

– Mnie też to zdziwiło, ale widziałem na własne oczy tę bójkę.

– Mówię ci, że odpoczywałem wtedy w szopie – powtórzyłem jeszcze raz.

– Wierzę ci, wierzę. To nawet potwierdza moją wstępną hipotezę – uspokoił mnie Ekspert.

– Jaką? – nie wytrzymałem.

– Za wcześnie o tym mówić. Muszę jeszcze sprawdzić parę faktów. Przyjdźcie w trójkę jutro na dużej przerwie; może już coś będę wiedział.

Trudno wprost opisać, co przeżyłem tego dnia. Na przerwach chowałem się po kątach przed milczeniem Jasia i Marka oraz przed natarczywością pędraków z młodszych klas. Na lekcjach zaś ledwo wytrzymywałem zaciekawione spojrzenia nauczycieli i dziewczyn.

Nazajutrz nie mogłem się doczekać dużej przerwy. Nie bez trudu udało mi się namówić Jaśka i Marka, by poszli ze mną: nie chcieli mieć nic wspólnego ze „zdrajcą".

Romcio stał nieruchomo przed otwartym oknem i patrzył na boisko.

– Siadajcie – powiedział poważnie. Odwrócił się i, przechadzając się powoli, zaczął referować: – Wszyscy wiemy, że nasza szkoła nie jest taką normalną budą: zbyt dużo dzieje się tu mało prawdopodobnych rzeczy. Sami chyba wiecie, o co mi chodzi.

– Aha – przytaknęliśmy.

– Nie pytajcie o przyczyny tego zjawiska, bo ich po prostu nie znam. Przypuśćmy, że nasza podstawówka działa jak swoisty wzmacniacz prawdopodobieństwa. Stąd ona, a z nią uczniowie i grono przejawiają dziwne właściwości. Mamy tego najnowsze przykłady w postaci nieprawdopodobnych zachowań Hobelki, Sola i ciebie – Zdzichu.

– To była moja pierwsza hipoteza – kontynuował Ekspert. – Nie jestem nią zachwycony, bo nie tłumaczy, dlaczego akurat Hobelce, Soli i Zdzisiowi przydarzyły się te nienormalne zachowania. Przypuśćmy więc, pomyślałem sobie, iż nasza buda, my i ciało, stanowimy swoisty organizm, rozumiecie: jakąś nową jakość niebędącą prostą sumą składników. I ten organizm cały czas dąży do zachowania określonej równowagi, nazywa się to homeostazą, przez co na dłuższą metę nie toleruje zbyt ekstremalnych zachowań. Wytwarza wtedy jakieś przeciwciała, podobnie jak organizm

chorego człowieka wytwarza antyciała niszczące zarazki. Przypomnijcie sobie, że ostatnio Hobelka była łagodniejsza niż zwykle, Sól – surowszy, a Zdzicho, no cóż, Zdzicho po prostu gorszy.

– Rzeczywiście, tak było – przytaknęli zgodnie Marek i Jasiek.

– Może i masz rację – nie podobało mi się to „gorszy".

– Gdy trwało to zbyt długo, pojawiły się przeciwciała, czyli sobowtóry, niejako znoszące ekstremalne zachowania wyżej wymienionych osób.

– Aha, i dlatego Hobelka, a właściwie antyHobelka, nastawiała tyle pał, a antySól był taki miły – pokiwał głową Marek.

– Ale jak taka podmiana jest możliwa? – spytałem.

– To proste. Delikwent czuje się niedobrze w szkole, idzie do lekarza – tak było z Hobelką i Solniakiem, lub odpocząć do ogródka – tak było z tobą. W tym czasie materializuje się sobowtór i przystępuje do dzieła. Do dzieła, które zaskakuje wszystkich.

– No dobra, ale w jaki sposób następuje ta materializacja? – dopytywał Jasiek.

– Tego nie wiem. Mówiłem wam, że nie znam mechanizmu zjawiska. Ale nie zdziwiłbym się – Romcio roześmiał się cicho – gdyby energię do tej transformacji organizm szkoły czerpał z wrzasku wiary na przerwach. O ile się nie mylę, nasza buda dzierży ogólnopolski prym w głośności uczniów.

– To straszne – przeraził się Marek. – Nikt nie zna dnia ani godziny swojej podmiany.

– Niezupełnie – uspokoił go Ekspert. – Przeciętniakom nic nie grozi. Tylko jednostki wyróżniające się in plus lub in minus są neutralizowane. Tak więc w najbliższym czasie możemy się spodziewać sobowtórów neutralizujących tępotę matematyczną Wieśka Zająca, złośliwość Kaśki Senderek czy ślamazarność Zelówki.

– A ty? Co z tobą?

– No cóż, nie zdziwcie się, jeśli kiedyś na fizie wstanę do odpowiedzi i nie będę mógł sobie przypomnieć drugiej zasady dynamiki Newtona: to nie będę ja.

– I nie ma żadnego ratunku? – zmartwiliśmy się.

– Może i jest – odpowiedział Romek. – Gdyby bractwo przestało tak krzyczeć i rozrabiać na przerwach, to kto wie? Ale czy chcielibyście chodzić do takiej ponurej szkoły?

– Bo ja nie – cicho dodał po chwili.

Kraków/Brzeszcze, 1985

1.10.1999

synku
rankiem babcia odjechała
na swym rozklekotanym rowerze
trudno jej było
chorymi stopami
naciskać przerdzewiałe pedały
zresztą
co to za jazda
bez latarki synku
pod wiatr
i jeszcze ten deszcz w oczy
żałośnie dyndał pomponik
na wełnianym berecie

dziadek
próbował ją zatrzymać
lecz jak zwykle uparta
nie chciała słuchać
aż odjechała drogą
tą
prowadzącą nad stawy

wiesz którą
synku

15.10.1999

to pewnie przypadek
że twój wysłużony zegarek
stanął dokładnie o 2[51]
takie przypadki się przecież zdarzają

tego meczu
nie oglądniesz tato
nie podskoczysz
gdy nasi zdobywają gola
po tego prawdziwka
nie schylisz się tato
choćby nie wiem
jak wielki miał kapelusz
nie siądziesz pod orzechem
sącząc piwo
i przy tym z sąsiadami
naprawiając świat

twoja kosa rdzewieje w stodole
chwasty coraz śmielej
atakują łąkę
walczyłem tatusiu
lecz bitwa skończona
słońce już zaszło
nad zranioną trawą

25.02.2001

nie dziwcie się tym łzom
nie mówcie
przecież to zwykły pies
albo
to tylko zwyczajny kot

tak nie zdychają domownicy
tak odchodzi
kari murka azor brusek
albo
mruczek kitty filemon puszek
schorowany przyjaciel
albo
ktoś o bardzo małym rozumku

w rogu ogrodu
wykopiemy grób
glina oblepi nam serca i buty
wrzucimy ulubioną zabawkę
i
zapłakani wrócimy do domu

tak przeszkadzać będzie
niezasierściony dywan
albo
pusty fotel

1.07.2004

zaginął pies
niedołężny jak ja
może widziałeś go
gdzieś w okolicy

podpalany kundel
zagubiony jak ja
tak łatwo zgubić się
w wielkim mieście

być może
to już koniec historii
tak właśnie
piszą intelektualiści

być może

lecz jakże tu mówić o końcu
gdy zaginął mój pies
i nie wiem
kiedy go odnajdę

24.11.2006

marek
nieobecny usprawiedliwiony
staszek
nieobecny usprawiedliwiony
coraz mniejsza ta nasza klasa
kiedyś tak wielka i niebezpieczna
jak amazońska dżungla

kto napisze usprawiedliwienie
naszej pani
bo przyjść nie mogła
na tę listopadową lekcję
może ty basiu
albo ty teresko
proszę
bez błędów ort
z wszystkimi przecinkami i kropkami
myślnik
nasz niedoceniany przyjaciel
też się przyda

pustoszeją wypastowane korytarze
ostatnia lekcja
wciąż przed nami

22.08.2008

kolczyki
te z cyrkonią
na krótkim łańcuszku
zostawiłaś na pralce

teraz rdzewieją
(a miały być ze srebra)

nie uwierzysz
jak z początku
nic nieznacząca plamka
może wszystko zepsuć

wracaj

bo co dzień
mam mniej sił
by je
pielęgnować

28.12.2008

coraz bardziej wypasiona
ta tablica ogłoszeń
pod kościołem
kury nioski po 6 zł
dam pracę za 800 zł na rękę
kupię działkę tanio
kurs prawa jazdy tylko 950 zł
sprawy żywych
proste i niezmienne
ważne lub bez znaczenia

ale najczęściej
naklejamy klepsydry
jedna na drugiej
albo obok siebie
bezcenne
zaproszenia dla żywych
w imieniu umarłych

warstwą po warstwie
tuczy się franca
na ludzkiej krzywdzie

22.09.2009

w dolinkę racławki dotarło już słońce
rozdziela cienie między wszystkie drzewa
zielonokolorowo rozglądam się wokół
to nieprawda że lubieżnik mech
lubi tylko od północnej strony

w dolince racławki mówię dzień dobry
odpoczywającej na pniaku zakochanej parze
wita mnie radośnie wyprawa starszaków
ech piszczaki ciszej proszę
pobladły zimorodek
już pryska w odwrocie

na zapomnianym szlaku
oślizły głaz
podstępnie podkłada mi nogę
chłodno pod stopami rozkładają się liście
z trudem wciągam powietrze
w płuca obolałe oporem wysokości

w dolince racławki spadają listki
z nimi grzyby oraz krople rosy
buki wraz ze mną starzeją się pięknie
i pięknie
przy starym mostku szumiszemrze woda

cieszę się każdą chwilą
by miało się co
przewijać przed oczami
w tej ostatniej

11.04.2010

znów przejeżdżam obok
zrujnowanego pałacu w zrujnowanym parku
zrujnowałem wiele rzeczy i spraw
tym razem to nie moja sprawka

nie pamiętam kiedy byliśmy tam
za/razem pierwszy i ostatni raz
na pewno ty zaproponowałaś wycieczkę

było lato czy jesień rok dobry czy zły
chciałbym pamiętać smakować ocalić
nic z tego
moja pamięć też jest w ruinie

połamane schody nie prowadziły do nieba
krzywe ściany nie dawały oparcia
nie miało to wtedy żadnego znaczenia
bo roześmiana byłaś ze mną

rujnuję zdrowie jedząc źle i pijąc za dużo
coraz częściej rozpamiętuję zrujnowane sprawy
czy jak rzeczy można je naprawić

nie pamiętam

21.03.2011

w dolince racławki
jak zwykle
nie spotykam nikogo
sam siedzę na naszej
szemrzącej ławeczce
wiosny też tu nie widać

idę prawie biegnę
pot może łzy
biegną razem ze mną
jakbym chciał uciec
przed tą miłością
nie nadążyłabyś
za mną kochana

wiem jak dojść
w każde miejsce
znam tu wszystkie
ścieżki i drogowskazy
a przecież
pogubiłem się bardzo

racławka
tuż przy mostku
lśni jak lśniła

22.08.2011

zboża już pewnie zżęte
więc nie pójdziemy
jak mówią w twoich stronach
w żyto

zaprzyjaźnione chabry i maki
zamiast mdleć z rozkoszy
bez nas w końcu zwiędną

zaorane już po życie ściernisko
i dżdżownice zdziobane ze smakiem
zarosłą ścieżką wśród pól
nie dojdziemy na czas

mimo miedzy
próbujmy dotrzeć
na północ od pojutrze

6.05.2012

a może byśmy tak kochana
wpadli na dzień do kazimierza
zasłuchać się jak bruk na rynku
miłosnych kroków szept odmierza

gdzie krzysztof z świętym mikołajem
wapienną nad ryneczkiem strażą
a kościół farny i spichlerze
o złotych czasach skrycie marzą

gdzie studnia miłych życzeń pełna
życzliwa wszystkim kto w podróży
wyspą złoczyńców zachwycona
za jeden uśmiech nam powróży

w majowy weekend majowe słowa
majowy deszcz w majowy wieczór
majowi ludzie majowy księżyc
w oczy zaglądnie nam na przekór

ciepło trzymając się za ręce
po same łokcie zakochane
pójdziemy w sobie zasłuchani
brzegiem wisły zaczarowanej

i powtórzymy to zaklęcie
sto dwieście trzysta tysiąc razy
nie dbając ilu przed i po nas
majowa miłość się przydarzy

In vino venustas

Co u diabła robić w taki upał? Toż nawet na plażę nie warto iść: gorący piasek, gorące morze, gorące kobiety – nie pozwolą odetchnąć. Poszedłem więc na gorącą kawę do „Pod Luisie". Od trzech dni byłem na urlopie w maleńkiej Bolewii nad samym morzem: kilkadziesiąt urokliwych domów, może dwustu mieszkańców i naprawdę niewielu wczasowiczów. Nad wszystkim górowała, położona jakieś trzy kilometry od centrum, ruina castello z szesnastego wieku. Już chyba piąty raz od przyjazdu zaglądałem do „Pod Luisie" – w kafejce wciśniętej między drogerię i spożywczak, tuż naprzeciwko kościółka, można było wypić espresso, latte, coś mocniejszego, zjeść dobre ciasto i oglądnąć TV. Miała dobry klimat: mieszanka nowoczesnego wyposażenia z tradycyjnym wystrojem. Trzy wysokie stoliki z krzesłami dla śpieszących się klientów i pięć niskich stoliczków otoczonych wygodnymi fotelami dla stałych bywalców. Za ladą, na której królowały wielofunkcyjny ekspres, terminal SuperEnalotto oraz szklana oranżeria z ciastem i ciastkami, stał – zwykle nieruchawy – Lorenzo. Wystarczył jednak drobny gest znajomego klienta, by żwawo brał się do roboty, przygotowując pyszną kawę lub podając ulubione wino. Za Lorenzo rozciągał się bowiem świat win. Świat, bo – chociaż dominowały lokalne gatunki – wprawne oko dostrzec mogło butelki z dalekiego Chile czy Nowej Zelandii. Wina białe, różowe i czerwone, od wytrawnych, z delikatną goryczką, po słodkie niczym najlepszy nektar. Feeria barw i aromatów. To nie był jedyny winny akcent w przytulnym pomieszczeniu. Na ścianie, tuż nad fotelami, wisiał stary sztych przedstawiający piękną damę, ową Luisie – jak mi objaśniono – ściskającą butelkę wina, a w kącie stała stara dębowa beczka po winie.

Tego dnia stałych bywalców, do których zacząłem sam się zaliczać, nie było. Tylko jeden fotel w rogu pomieszczenia był zajęty. Siedziała w nim dziewczyna, którą widziałem tu po raz pierwszy, bardzo podobna do Luizy z portretu, i drobnymi łykami smakowała jasne wino, pogryzając kawałki marcepanu. Stałych klientów nie było, za to ze zdumieniem zauważyłem, że drzwi prawie się nie zamykają za tabunami obcych.

– Och, signore Paolo, ja już nie mam siły. – Lorenzo wzniósł oczy do nieba. – Dzisiaj jest kumulacja w SuperEna i nie dość, że prawie wszyscy z okolicy przybywają puścić parę zakładów, to przyjeżdżają pełne autokary ze Słowenii, a nawet z Bośni i Chorwacji! Tak to jest prowadzić biznes niedaleko granicy.

– A ileż to można wygrać w to wasze lotto? – nigdy specjalnie się tym nie interesowałem; raczej stroniłem od hazardu.

– Jakieś sto trzydzieści milionów – pokiwał głową – sam puściłem dwadzieścia zakładów, ale szanse są marne.

– Sto trzydzieści?! – przysiadłem z wrażenia. – Daj mi dziewięć – nie chciałem ryzykować zbyt wiele, a ponadto dziewiątka była moją ulubioną liczbą.

– Co to za dama? – Dyskretnie wskazałem głową, gdy wydawał resztę.

– Pierwszy raz ją widzę – wzruszył ramionami – ale cholernie podobna do naszej Luisie. No i zamówiła właśnie to wino.

– Takie jak na obrazie?

– Rzadko ma teraz wzięcie, ale dawniej... – oczy zabłysły mu nieoczekiwanym blaskiem. – Różowe, weselne wino wenusjańskie, sprowadzane z Francji. A do niego nie ma to jak marcepan.

– W takim razie spróbuję – nie miałem nawet pojęcia, że takie wino istnieje. Nie byłem zresztą, i nie jestem, koneserem: po prostu lubię wieczorem wypić dwie, trzy lampki wytrawnego lub półwytrawnego wina.

Wziąłem pełny kielich, do tego talerzyk z pokrojonym marcepanem i wróciłem na swoje miejsce. Nie przepadałem za takimi smakami – wino było zbyt słodkie jak na mój gust. Ale przy ostatnim łyku odkryłem niespodziewany smak i aromat. Może to marcepan sprawił, że wino wydało się dużo mniej słodkie i odsłoniło swój niespodziewany bukiet. Zrobiło mi się przyjemnie na duszy i ciele. Nim zdążyłem podnieść rękę w kierunku Lorenza, by powtórzyć zamówienie, ubiegła mnie piękna nieznajoma – też poprosiła o powtórkę. Lorenzo zabawił się w swatkę: specjały rozłożył na stoliku dziewczyny i gestem dłoni zaprosił mnie do niej. A może to był jej pomysł?

Przedstawiłem się, dowiedziałem się, że ma na imię Luisie i mieszka w Mediolanie.

– Widzę, że wciąż pan zerka na ten portret.

– Przyzna pani, że podobieństwo jest uderzające.

– I nic dziwnego, bo to starsza siostra mojej praprapraprababki. Imię też mam po niej.

– A ta butelka? I melancholia w oczach? – spojrzałem na obraz.

– Chce pan poznać tę historię? Uprzedzam, że jest smutna. I, no tak! – wyraźnie była zaskoczona – związana z pana krajem.

– Wydarzyło się to w 1863 roku. Castello – ruchem głowy wskazała na północ – od wielu lat był własnością naszej rodziny. Jesienią miało się tu odbyć wesele Luisie z Angelem, synem hrabiego z sąsiedniej miejscowości. Było już po zaręczynach, przygotowania szły pełną parą: między innymi do butelek i gąsiorów rozlewano weselne wino wytworzone w roku Wenus, które – jak kazała tradycja – ojciec kupił tuż po narodzinach Luisie, by czekało w piwnicach na szczęśliwy dzień panny młodej. Wino z roku Wenus nazywano trunkiem dobrej Fortuny, bo – jak wierzono – w tym czasie winnice dawały doskonałe, słodkie grona, a trunek zeń wytworzony miał zapewnić młodej parze zdrowie, miłość i radość trwające całe życie.

– O, widzi pan tę beczkę? – dłonią wskazała na róg sali – to właśnie jedna z tych weselnych beczek, z wyrytym symbolem Wenus.

– Faktycznie – zauważyłem koło z małym krzyżykiem poniżej, wygrawerowane na dębowej desce.

– Angel to był niespokojny duch – upiła łyk – więc gdy Garibaldi rzucił apel „nie opuszczajcie Polski", bez wahania dołączył do ochotników Francesco Nullo. Miał wrócić latem, przed weselem. Luisie rozpaczała, ale przecież wy jesteście z Marsa, cóż znaczą kobiece łzy?

– Domyślam się, że nie wrócił – pominąłem jej męskie wycieczki. – Znam tę historię, bo działa się niedaleko mojego Krakowa. Zdaje się, że jakoś tak początkiem maja Nullo i większość jego oddziału zginęli w potyczce z Rosjanami.

– Tak właśnie było. Luisie, gdy się dowiedziała, płakała całymi dniami i nocami; to z tego okresu pochodzi ten portret. Nigdy nie wyszła za mąż, zdziwaczała, po jej śmierci okoliczni mieszkańcy widywali ponoć jej ducha włóczącego się po okolicy, z butelką wina przy piersi.

– Miała pani rację, smutna historia.

– Ale wino doskonałe. Za szczęście – wzniosła toast.

Gdy wróciłem z toalety – fizjologia ma swoje prawa – dziewczyny i rachunku nie było; zapłaciła za wszystko i zniknęła.

Późnym wieczorem, jednak z napięciem, czekałem na wyniki SuperEna. Oczywiście nie trafiłem ani jednej liczby, ale trafić sześć z dziewięćdziesięciu to przecież nie taka prosta sprawa. Postanowiłem zdziewięciokrotnić stawkę i puściłem osiemdziesiąt jeden zakładów na następne losowanie: Lorenzo nie wydawał się zaskoczony.

Nazajutrz, przed południem, wybrałem się zobaczyć castello. Prowadziła doń wąska, szutrowa droga, ale że jestem wytrawnym piechurem, wziąwszy nieodłączny plecaczek z wodą, aparatem i ręcznikiem, pomaszerowałem krętą ścieżką wspinającą się na wzgórze. Trasa nie była trudna, ale wzmagający się upał nie ułatwiał wędrówki. Ruiny sprawiały przygnębiające wrażenie: tylko baszta zachowała się w jako takim stanie, reszta nadawała się

chyba tylko do wyburzenia. Pokręciłem się trochę, zrobiłem kilka zdjęć i wróciłem – tym razem – główną drogą.

W sobotę nie było losowania, bo przecież było Ferragosto. Plaża zatłoczona rozradowanym tłumem, starsi i młodzi z ochotą polewali się wodą – przypominało to trochę nasz śmigus-dyngus. A wieczorem, przed kafejką i w środku, odbyła się zabawa na sto dwa. Wino lało się w zastraszających ilościach – Lorenzo wziął do pomocy dwóch siostrzeńców, bo sam nie dałby rady. Tańcom, wspólnym i w parach, wesołym i tęsknym, nie było końca. Przypadkiem, a może nie, tuż przy mnie znalazła się Luisie. I już została. Tańczyła wyśmienicie, ale przede wszystkim, Boże, jak pachniała! Morze, słońce, oliwki, winne grono, wiatr. Tańczyliśmy, rozmawiając coraz czulej, wracaliśmy do stolika wychylić trochę wina, i znów tańczyliśmy. Powoli traciłem głowę i nie był to wcale efekt wypitego trunku. Tuż przed północą Lorenzo dał wspaniały pokaz fajerwerków: okazało się, że jest nie tylko wyśmienitym barmanem, ale i świetnym pirotechnikiem. Gapiłem się zachwycony w niebo rozbłyskujące ogniem i przegapiłem moment, w którym Luisie zniknęła. Daremnie rozglądałem się, wołałem, przepychałem w rozbawionym tłumie. W ponurym nastroju wróciłem do domku.

Następne dwa dni spędziłem, leniuchując na plaży i beznadziejnie wypatrując tajemniczej dziewczyny. Poniedziałkowe losowanie zastało mnie „Pod Luisie": tym razem trafiłem jeden numer – 27; czyż nie mówiłem, że dziewięć to moja szczęśliwa liczba? Przecież to pierwiastek z dziewięć razy dziewięć! Natychmiast puściłem dziewięć razy więcej zakładów niż poprzednio – za ponad trzysta pięćdziesiąt euro. Bo nadal nikt nie trafił i kumulacja wynosiła już sto trzydzieści osiem milionów euro.

We wtorek żar trawił miasteczko i jego okolice. Mimo to postanowiłem odwiedzić castello, mając nadzieję, że może tam znajdę Luisie lub jakąś wskazówkę, która mogłaby mnie naprowadzić na jej ślad. Nic tam się jednak nie zmieniło: w rozedrganym po-

wietrzu ruina wyglądała tak samo nieprzytulnie jak poprzednio. W drodze powrotnej zboczyłem ze ścieżki, pragnąc skrótem dostać się prosto na plażę. Niespodziewanie natknąłem się na strumyk, który przy skalnym rumowisku rozlewał się w może metrową głębię. Byłem już zmęczony – pot lepił koszulę do grzbietu, więc postanowiłem wykąpać się, a co tam, przecież to pustkowie. Z ulgą zrzuciłem ubranie i powoli wszedłem do zimnej wody.

– Jest na co popatrzeć – usłyszałem znienacka.

– A tak, ładne widoki – speszony zatoczyłem ręką półkole.

Nad wodą stała Luisie i rozbawiona obserwowała moje wysiłki ukrycia sterczącej nagości. Nagle zrzuciła luźną sukienkę – nie miała nic pod spodem – i szybko znalazła się obok mnie. Woda – przed chwilą chłodna – zdawała się rozgrzać do czerwoności. Błądziłem wargami i dłońmi po jej powiekach, policzkach i szyi; koniuszkiem języka drażniłem wnętrza jej kształtnych uszu i sutki drobnych piersi; dziewczyna nie pozostawała mi dłużna. W końcu zanurzyłem się w cieple jej ud.

Gdy wycierałem twarz moim podróżniczym ręcznikiem, Luisie zniknęła. Zrezygnowany, westchnąłem i nawet nie usiłowałem szukać jej pośród skał: widocznie ten typ tak ma.

Wieczorem zameldowałem się u Lorenzo, wziąłem kawę i wenusjańskie wino, i na jednej lampce się nie skończyło. Tym razem nie trafiłem żadnej liczby; zresztą żadna z wylosowanych nie miała niczego wspólnego z dziewiątką. Nikt z grających nie trafił szóstki, więc w najbliższy czwartek spodziewano się kumulacji w wysokości ponad stu czterdziestu milionów euro. W całych Włoszech, i w Bolewii też, narastała gorączka. Tę łatwo mi było pokonać: po prostu puściłem sześć tysięcy pięćset sześćdziesiąt jeden zakładów, przez co stałem się o ponad trzy tysiące euro uboższy. Ale jak znieść miłosną gorączkę, jeśli nie wiesz, kiedy, gdzie i czy w ogóle spotkasz swoją Umiłowaną? Do czwartkowego wieczora włóczyłem się po okolicy: byłem w castello, nad strumykiem, na plaży, obszedłem wszystkie zakamarki miasteczka. Jak kamień w wodę. Ludzie mówili, że widzieli Luisie albo dziewczynę do niej bardzo podobną, ale nikt nie wiedział, gdzie mieszka. Dowiedziałem się też, że w połowie lat pięćdziesiątych rodzina Morellich sprzedała zameczek, który już wtedy był ruiną.

To nieprawda, że tylko przy szampanie robi się głupstwa: i przy białym, i przy czerwonym winie głupstwa robi się tak samo łatwo. Miałem już dobrze w czubie – bo znów zawitałem do Lorenzo – gdy okazało się, że z milionów nici. Podniósł się niesamowity gwar – „Pod Luisie" zgromadził się całkiem pokaźny tłumek, kiedy ogłoszono, że w sobotę kumulacja wyniesie prawie sto czterdzieści osiem milionów. Niektórzy już od razu zaczęli kupować zakłady. Gdybym był trzeźwy i z głową niezaprzątniętą uczuciem, pewnie nic by się nie stało – spasowałbym i puściłbym co najwyżej kilkadziesiąt zakładów. Ale… to nie był ten dzień. W rozpalonej głowie majaczyła mi się wielka wygrana, za którą odkupię castello, wyremontuję je i złożę u stóp Luisie. Jeszcze raz postanowiłem podnieść stawkę dziewięć razy, a to dawało prawie trzydzieści tysięcy euro. Miałem tyle odłożone na lokacie z przeznaczeniem na nowy samochód. Chwiejnym krokiem udałem się na zaplecze, gdzie na laptopie, użyczonym przez Lorenzo, zlikwidowałem lokatę i zniosłem limit jednorazowej płatności. Uczciwie muszę przyznać, że Lorenzo ze wszystkich sił próbował odwieść mnie od tego szalonego kroku, ale tylko machnąłem ręką. W lokalu nastała zdumiona cisza, gdy płaciłem kartą za system dający pięćdziesiąt dziewięć tysięcy czterdzieści dziewięć zakładów.

Niewiele pamiętam z kolejnych dwóch dni: w każdym razie trawiony gorączką zwędrowałem okolice wzdłuż i wszerz, a mimo dobrych skarpet i dobrych butów na stopach pojawiły się pęcherze. Luisie nie znalazłem.

Pełne napięcia skupienie panowało w sobotę „Pod Luisie", gdy maszyna wypluwała kolejne numery SuperEna. Jęk zawodu przetoczył się po sali, kiedy gracze sprawdzali swoje kupony. Z niedowierzaniem patrzyłem na swój – miałem te liczby, ale dokładnie

o jeden mniejsze. Po chwili spiker ogłosił, że padła jedna główna wygrana w wysokości stu czterdziestu siedmiu milionów ośmiuset siedmiu tysięcy trzystu euro.

Gdy wychodziłem z knajpki, przypomniałem sobie, że wczoraj śniło mi się rozlane wino, a ponoć oznacza to zmarnowane szczęście. I dopiero teraz zauważyłem nad wejściem stary, mocno zatarty napis: *Alea, vina, Venus, per quae sum factus egenus*.

***

W niedzielę wracałem do domu. Wracałem z solidnie uszczuplonym kontem i złamanym sercem, ale czy nieszczęśliwy? Pewnie tak. Jednak może warto było.

Bolechowice, 11–18.11.2011

21.03.2013

Z każdym naszym oddechem
Zima topnieje, Kochana.
Z każdym Twym pocałunkiem,
Choć śniegu wciąż po kolana.

Wiatr, wielki przyjaciel wiosny,
Zaplątał się w Twoje włosy.
Prądnik otrząsa się z lodu,
Beztrosko swingują kosy.

Czy to Panią spotkałem
Na żółtym, słonecznym szlaku?
To byłam ja, mój Miły,
Wśród ciepłych buków orszaku.

Głodna wędrowca pieszczoty,
Warg spierzchniętych chciwa.
Spragniona smaków miłości,
Co zimą tak nieszczęśliwa.

Potknąłeś się. I te oczy…
Dojrzałam, jak Ci jaśnieją
Pierwszym wiosennym uśmiechem,
Pierwszą wiosenną nadzieją…

6.10.2014

zrudziałe po życie ściernisko
rdza już osiada na bukach
żółciami zachwyca nawłoć
kolorów jesieni szukam

gęsi w podróży na południe
sójka wciąż nie jest gotowa
rudziki buszują w głogach
jesień dojrzewa purpurowa

starością zgarbione siano
na mokrej garbatej łące
pod stopami znoszone liście
w plecaku jesienne słońce

dziś księżyc w zmarzniętej pełni
trudno zasnąć wciąż tak boli
tylko śnić o sobie możemy
na tyle nam jesień pozwoli

13.11.2014

wywieziony z lasu
jesionowy pień
na którym

zmiecione ze ścieżki
buczynowe liście
po których

zniszczona ambona
przy zapomnianym paśniku
w której

już jesień
smutna i cicha
podczas której

8/21.03.2015

Pani zachwyca,
pachnie imbirem,
taki zapach tak
uderza do głowy…

Pani czaruje
oddechem wiśniowym,
takie usta tak
zapierają mi dech…

Pani urzeka,
Pani nie czeka,
a zegar wiosenny
dzyń, dzyń…

Hołd dla Jonasza Kofty

Nie, nie możesz teraz odejść,
Jestem pustką, wyschłym brodem,
Licha jabłoń w piaskach pól.
Puste niebo, puste bóstwa,
Mam spierzchnięte, martwe usta,
Pocałunki twe to ból.

Nie, nie możesz teraz odejść,
Kiedy noce ranią chłodem,
Wciąż wyglądam dłoni twych.
Popatrz na mnie czule jeszcze,
Zanim rozpacz w pył mnie zetrze,
Nim utonę w myślach złych.

Nie, nie możesz teraz odejść,
Jestem żarem, jestem głodem,
Spopielona w ogniu snów.
Pragnę, łaknę, pragnę, płonę,
Skórę mam na drugą stronę,
Chciwa twoich warg i słów.

Tak, już teraz możesz odejść,
Patrzysz na dziewczyny młode,
Na nic moje łzy i krew.
Tak jak inni wpadłeś w gości,
Niewart jesteś tej miłości,
Daj zapomnieć, chwilom wbrew.

Bolechowice, 10.05.2015

28.06.2015

przybyło nam lat
i farbowanych włosów
licealne czasy
wspominamy częściej
słoneczne dziewczyny
zwariowanych chłopców
zielone miłości
nie ranią boleśnie

anka objaśnia
ciąg fibonacciego
ten wciąż nieskończony
i my nie skończeni
nie chcemy do celu
dojść indukcji drogą
bo pachną kasztany
w głowach się zieleni

na turbaczu patrzeć
w niebo o północy
dla nas bułka z masłem
grać w zielone chcemy
więc niech świat będzie
zielonym do góry
gdy ostatnim szlakiem
ze szczytów zejdziemy

27.11.2015

kiedy listopadowy deszcz
już padać przestanie
i zmęczony bruk
księżycem zacznie się skrzyć
osaczy nas
ta wytrwała tęsknota
którą przyszło nam śnić

parują deszczem
gołębie i konie
nic kochana nic
najważniejsze że nasze dłonie
tę tęsknotę chcą śnić

szewska wiślna i sienna
w srebrnych cieniach
my w nich
i mariacka tęsknota
którą pragniemy wciąż śnić

pod adasiem smutki odfruną
lecz nam
nie przestanie się śnić
ta niewierna tęsknota
która nie daje spać
która nie daje żyć

30.08.2016

martwe liście kasztanów
jak śmiertelny przyjaciel
leżą już na ścieżce
co po nas zostanie
mój panie

nierozwiązana całka
wiersz
napisany na kolanie
może i ty panie

wieniec od kolegów z pracy
z ostatnim pożegnaniem
nierozwikłane sprawy
to po nas zostanie
mój panie

mane tekel fares
na ścianie
garstka pyłu na wietrze
to po nas zostanie
mój panie

moja dusza łaknie ciebie
mój panie
może to
po nas zostanie

16.09.2016

siedziałaś
przy naszym stole
gdy wiatr
letni wiatr
przemknął
koło naszego okna

i ty
jak letni ptak

odfrunęłaś

Hołd dla B. Choińskiego, J. Gałkowskiego, Cz. Niemena, M. Święcickiego

Pod Papugami, w miejscu tym, gdzie przybywa lat.
My tacy sami: wciąż myślimy, że przed nami świat.
Tu wybór – a jakże – dają, lecz dają go tylko raz.
Nic z tego ognia nie zostanie, przeklęty miażdży nas czas.

W zapomnianych we śnie kolorach,
Na parkietach i na mostach.
W smutnej beztrosce lat minionych,
Chwile nam zostaw.

Pod Papugami wisi lustro, w którym każdy ma
Most między snami, przechodzącym nim – *chapeau bas*.

W zapomnianych we śnie kolorach,
Na parkietach i na mostach.
W smutnej beztrosce lat minionych,
Chwile nam zostaw.

Pod Papugami, zwłaszcza wtedy, gdy kolorów brak,
Pod Papugami, rozstań smutek gwiżdże nam wiatr.

Rozstań smutek gwiżdże nam wiatr.
Rozstań smutek gwiżdże nam wiatr.

Bolechowice, październik 2016

11.11.2016

a może byś tak moja miła
wreszcie wpadła do mnie na chwilę
księżyc zmierza do mroźnej pełni
mierzę mu obwód o pi się mylę

czekam przecież nadziei nie mam
lecz gotowe moje ciepłe dłonie
by ci ogrzać ścięte zimą włosy
ukoić twe bolące skronie

kropla księżyca w zimny wieczór
spadła na mój zmarznięty taras
i ja tak czekam moja miła
może przyjedziesz choćby zaraz

może przyjedziesz może zaraz
choć na to zaraz wcale nie liczę
piję nie wyglądam przez okno
kroków twych cichych nie usłyszę

i tak w tej przemarzniętej ciszy
odpłynie księżyc i ja odpłynę
to nie twe kroki moja miła
w tej zimnej mgle bez ciebie ginę

17.05.2017

los nam nie sprzyjał
rozrzucił gdzie chciał
zostały nam tylko
listy z odległych miast

błądzą po świecie słowa
jak bez gniazd ptaki
adresat nieznany
z nieznanej itaki

los nam nie sprzyjał
wiem i ty to wiesz
no i z bogiem
a czort go bierz

już raz nas odprawił
w tę drogę bez szans
splątał kruche ścieżki
zaśmiał się nam w twarz

nasze czułe listy
czytane po latach
późny uśmiech losu
nasza wielka strata

14/15.09.2017

nie wiem
gdzie położyłaś swoje włosy
srebrne
szmaragdowe
może szafirowe

teraz gdzieś lśnią
pełnią księżyca
alpejską łąką
niebem nad urwiskiem
lecz gdzie

nie wiesz
gdzie podziałem swoje sny
srebrne
szmaragdowe
może szafirowe
teraz nie lśnią
wokół czarna mgła
bo gdzie

trudno
prawie niemożliwe
zapamiętać czas
jeśli poranek nie zaczyna się
od naszego ciepłego
dzień dobry

BALLADA O SŁONIU

pewnego ranka do mojego ogrodu
spadł z nieba wielki słoń
model afrykański
początkowo był spokojny chyba wystraszony
niespodziewaną w końcu sytuacją
koło południa przypuszczalnie z głodu
zaczął energicznie trąbić i zdrowo rozrabiać
jak pijany słoń w ogrodzie porcelany
piwonie wyraźnie mu nie zasmakowały
za to obgryzł wszystkie liście orzecha
choć był to orzech włoski a nie afrykański
ale może nic w tym dziwnego
bowiem włochy leżą niedaleko afryki
straż przeciwogniowa nie interweniowała
bo jak zwykle gasiła palące się w okolicy
wyschłe trawy i ścierniska których
podpalanie jest naszą tradycyjną zabawą
policja obywatelska nie interweniowała
bo ścigała zatwardziałych komunistów
i dilerów rozprowadzających narkotyki
wśród naszych ukochanych celebrytów
weterynarze polecani nie interweniowali
bo walczyli z afrykańskim pomorem świń
a przecież słonie zwłaszcza afrykańskie
jak twierdzi zoologia nie są świniami
zresztą afrykańskie świnie nazywają się
guźce a nie słonie
ja także nie interweniowałem
bo tkwiłem w nieustannym zadziwieniu

i poza tym nie znam się na słoniach
sąsiedzi na wszelki wypadek nie wychodzili
ze swych ładnych zadbanych domów
intensywnie pstrykali fotki przez otwarte okna
jeden nawet wypadł z balkonu
gdy próbował zrobić ładne selfie
trzeba mieć duże umiejętności żeby dobrze
skadrować takiego wielkiego słonia
do tego w bardzo zarośniętym ogrodzie
pod wieczór tego dnia wyjątkowo pięknego
słońce zachodziło krwawo nad wieżą kościółka
słoń zmęczony wszystkim smacznie zasnął
ku swojej zgubie jak się okazało
gdyż w nocy nasz pies zwykle dość tchórzliwy
odgryzł mu ogon ogonek właściwie
a czy ktoś widział słonia bez ogona
takie słonie wszak nie istnieją
nieważne afrykańskie czy indyjskie
więc bezszelestnie i nieodwołalnie zniknął

w rogu ogrodu został jedynie
lekko nieświeży chwościk

Bolechowice, 17.12.2017

25.03.2018

Listy niewysłane.
Ten w kopercie niebieskiej
Z zagiętym rogiem,
Ten w kopercie białej
Z naderwanym bokiem.

Już nie usłyszymy
Szeleszczących słów,
Zamiast ciepłego cześć
Zwykłe how do you do.

Pamiętasz, sąsiadko?
Nie przyszłaś na dworzec.
Zapomniałeś, sąsiedzie.
Adresat? Za morzem.

Listy niewysłane.
Ten w kopercie niebieskiej
Z zagiętym rogiem,
Ten w kopercie białej
Z naderwanym bokiem.

Kto milczy, nigdy nie ma racji,
Na nic najlepszy sufler.
Pełno chmur, chmur złych,
I tak lekki był nasz kufer.

Zostały książki, płyty, nici
I całkiem niekoszerny kot.
Nikt z nas nie wraca do domu,
Tylko pustka została po.

27.12.2018/PO ŚWIĘTACH

odkurzyć podłogę
strzepnąć dywanik
zerwać stary kalendarz
i
powiesić nowy

by
nie zostało nic
po tamtym

Ballada o latającym Alfredzie

Alfred wylądował w samo południe. Niezdarnie, bez polotu, na trzęsących się nogach. Potknął się przy tym i boleśnie wpakował w kępę pokrzyw. Nie był to długi lot – zaledwie dwuminutowy – koślawy, męczący, bo wprawy przecież nie miał za tym pierwszym razem. Zaklął, całkiem nie po anielsku, otrzepał się, schował skrzydła pod kusą marynarką i nieśpiesznie ruszył ku wijącemu się w dolince miasteczku.

Nie zapamiętał, kiedy wyrosły mu skrzydła, skrzydełka raczej. W piątek wieczorem? Raczej w sobotę rano. Nie jakieś tam archanielskie, co to to nie. Małe, może pół metra, koloru różowawo-szarego. Jakoś bardzo się nie zdziwił, może trochę – w rodzinie opowiadano o pradziadzie, który siał spustoszenie wśród wrażych wojsk w kresowych starciach: na widok człowieka z wielkimi skrzydłami płoszyły się ich konie, łuki i szable wypadały z rąk, a strach wykrzywiał żółte twarze. Rodzinni sceptycy, co prawda, mówili, że starcom pomieszały się skrzydła anielskie z husarskimi, ale wiadomo, że najgorsi są sceptycy rodzinni – zawsze będą szukać dziury w całym, by wyszło na ich prawdę. Tym razem prawda była taka, że skrzydła są i Alfred też jest. Mieściły się bez problemu pod marynarką – co najwyżej ktoś mógł pomyśleć, że widzi mężczyznę lekko garbatego. Niezbyt urodziwego przy tym, dodajmy.

Po drodze przycupnął obok przydrożnej kapliczki z zafrasowanym Jezuskiem i ze smakiem zjadł, wyciągniętą z kieszeni, kromkę suchego chleba. Smakowała dobrze, jak zwykle, tylko popić nie miał czym. Przez chwilę się zastanawiał, czy nie wypić wody z przykapliczkowego flakonu, bez kwiatów już teraz, ale jednak zdało mu się to nazbyt ryzykowne – mogła to być wczorajsza desz-

czówka, ale równie dobrze zwietrzały mocz: lud wiejski w całym wszechświecie ma różne pomysły, nasikać potrafi do kościelnej chrzcielnicy, a co dopiero do starego, przydrożnego flakonu.

Ściemniało się z wolna, gdy wreszcie dotarł do granic mieściny. Listopadowe popołudnia, gdy siąpi drobniutki śnieg z deszczem, nigdy nie są sympatyczne. Dobrze, że wiatru nie było, ale i tak zimno przenikało na wskroś. Przy dziurawej drodze, już prawie u wylotu z miasteczka, rozłożył się niewielki kram, taki tysiąc i jeden drobiazgów. Tłusty właściciel zachwalał tłustej paniusi kryształowy wazon „z samej huty Violetta": paniusia, czy wierzyć nie chciała w tak szlachetne pochodzenie wazonu, czy cena wydawała się jej stanowczo przesadzona, wydymała tłuste wargi i kręciła wytapirowaną głową. Trwał twardy handel połączony z wesołym przekomarzaniem.

Alfred ledwo słyszał to targowanie się. Bo jak słuchać nieważnych słów, gdy obok straganu, na metalowym trójnogu, wiszą trzy kożuchy. Może nie piękne, może nie wyprawione jak należy, ale zapewne ciepłe, oj ciepłe. A tu lodowato aż rwie w ramionach, nawet anioł by nie zdzierżył, bo przecież zimno, i odziać w ciepłe by się zdało. Podbiegł Alfred szybko do stojaka, cap za kożuch i w nogi, bo przecież zima i anioł by nie wytrzymał, a pieniędzy ni ma. Ale nie z Tłustym takie numery: długoletnie doświadczenie nauczyło go zasady ograniczonego zaufania – kożuch ani drgnie, bo wszystkie trzy są solidnie przywiązane rzemykami do stojaka. Szarpnięty gwałtownie trójnóg, prowadzony przerażonym wzrokiem kramarza, padł prosto na kryształy „z samej huty Violetta". „Psiakrew, a niech to dunder świśnie" – żachnął się w myślach Alfred – „żebym tak jakiś kozik miał, to bym już w cieple siedział". Ale że kozika nie miał, goniony zagniewanym wrzaskiem tłuściochów, podwinął podszytą wiatrem marynarkę, rozpostarł skromniutkie skrzydełka i wzbił się w zimne powietrze. Dobrze poszło nadspodziewanie, bo – jak wiemy – strach dodaje skrzydeł. Nie oglądał się za siebie, nie widział więc wykrzywionych – już

nie gniewem, a zdumieniem – tłustych twarzy. Co prawda, o mało nie zawadził o wiszące elektryczne druty, ale jakimś cudem przeleciał nad nimi, nie czyniąc im, ani sobie, katastrofalnej szkody.

Rozgrzał się tym lotem, ale i zmęczył, bo i lot to był dużo dłuższy niż ten pierwszy, dwuminutowy, i skrzydła wydały się mu jakieś solidniejsze. Wylądował w połowie niewielkiego wzgórka, na szczycie którego majaczyła solidna kapliczka.

– Może cieplej tam będzie, a i może jakaś kapa czy ornat się znajdzie do przykrycia – myślał, wspinając się ku murowanej kaplicy.

***

Odkąd pamiętał, Sierżant był sierżantem. Siedział teraz za, nie pierwszej świeżości, milicyjnym biurkiem i usiłował wyłowić jakiś sens z bezładnej paplaniny dwojga tłuściochów. Wymachiwali pulchnymi odnóżami, wchodzili sobie w słowo, wychodzili z nerwów.

– Doooość – wrzasnął w końcu Sierżant, czym spowodował nagłe zasłabnięcie kaprala Kaprala odpoczywającego w sąsiedniej izbie po morderczym pościgu za złodziejem ostatniej półlitrówki ze spółdzielczego sklepiku. – Co mi tu jakieś szopki robicie, dyrdymały opowiadacie. Jaki anioł, skąd u nas anioł?

– Piękny był, płci męskiej, po zaroście poznałem. Jak rozłożył te wielkie białe skrzydła, to pół świata zasłonił – przekonywał Władzę podekscytowany straganiarz.

– Tak, tak, cudowny był. Zimno pewnie nieborakowi było, to się i połakomił na ten marny kożuch. Jak zimno, to nawet anioł nie zdzierży, bidula – rozczuliła się paniusia.

– Niedługo przecież Boże Narodzenie. Może to w związku z tym przyleciał? – zastanawiał się kramarz.

– Światopogląd materialistyczny nie uznaje aniołów! – dobitnie podkreślił Sierżant. – Aniołów nie ma, nie było i nie będzie. Szlus, basta i kropka! Ciemno było, bóg wie, coście tam widzieli!

– Jak to nie ma? A te szkody to kto zrobił? Kto mi za te szkła, com je przywiózł z samej huty Violetta, zwróci? – biadolił straganiarz, a dwie kryształowe łzy spłynęły po tłustym policzku.

– Trzeba się było ubezpieczyć – w głosie Sierżanta zabrzmiał metafizyczny sarkazm.

– Ale jakże ubezpieczyć? Od anioła? – zdumiał się sprzedawca tysiąca i jednego drobiazgów. – W PZU nie da rady, tam też nie wierzą.

– Tak, zajmiemy się tą sprawą, zajmiemy – uspokajał Sierżant, sprawnie wypychając dwoje kryształolubców przed lichy budynek posterunku.

– Ale to może w przyszłej pięciolatce – mruknął, sadowiąc się za, wciąż nie pierwszej świeżości, milicyjnym biurkiem.

***

Kaplica była większa niż się zdawało, patrząc z dołu: kamienny okrąglak, nakryty wysokim dachem, miał jakieś dziesięć metrów średnicy i tyleż wysokości. Właściwie mały kościółek. Alfred stanął niezdecydowanie pod bogato zdobionym portalem, którego się tu wcale nie spodziewał – nie był pewien, czy drzwi będą otwarte. Były.

Wszedł powoli, zapadający mrok rozświetlała mała świeczka paląca się przy skromnym ołtarzu. „Ogień nieustanny będzie płonąć na ołtarzu, nigdy nie będzie wygasać" – przypomniał sobie. W kącie, za ołtarzem, znalazł mały stolik nakryty białym obrusem. Zwinął się pod ołtarzem i, opatulony białym materiałem, zasnął niespokojnym snem.

Obudziło go zimno przenikające przez nieogrzewane mury. Alfred przeciągnął się nieśpiesznie. Przeciągnął się jeszcze raz, by choć trochę rozgrzać zmarznięte kończyny i głodny żołądek. Właśnie, wciąż okryty białą płachtą, przemywał zaspane oczy w zimnej wodzie chrzcielnicy, gdy zaskrzypiały bogato zdobione drzwi i do

wnętrza wtargnął drobny staruszek, kościelny zapewne. Zaskoczony Alfred wzdrygnął się, a biały obrus powolną falą spłynął na posadzkę.

– Ludzie, ludzie! Olaboga! Anioł, anioł w naszej kapliczce! – Kościelny rzucił się na kolana, składając dłonie w modlitewnym geście. Nagle zrobił w tył zwrot i – wciąż wołając „Anioł, anioł!" – gwałtownie pobiegł ku zaspanej jeszcze mieścinie.

Alfred nie czekał ani minuty dłużej – dobrze wiedział, czym grozi religijna afektacja: wyrwał w drugą stronę, rozwinął skrzydła, i tyle go widzieli.

***

Leżała na nagrzanej, słonecznej plaży, w bikini ledwie przykrywającym piękne, małe, białe skrzydła – może opalała się tylko, może odpoczywała po trudach codziennego lotu. Nie był pewien jej wierności – ale też nie był pewien, czy wierność jest dobrym miernikiem miłości. Wylądował (trochę przypadkowo) tam, gdzie nie mogła go dostrzec – w ruinach starożytnej wioski, wśród krzewów miłorzębu. Takie kobiety zawsze przyciągają interesujących facetów: już po chwili podszedł do niej wysoki, pięknie zarośnięty mężczyzna – siwe skrzydła swobodnie spływały po muskularnych ramionach. Alfred czujnie wytężył słuch i wzrok. Za bardzo – tamten dostrzegł błysk głębi zazdrosnych źrenic, niedbale pomachał ręką i zniknął.

A niech mu ziemie lekkie będą – pomyślał Alfred i powoli zsunął się z niewysokiej wydmy ku opalającej się.

– Mogę być Twoją, mogę być kogoś innego – przywitała go, odwracając się leniwie.

– Mogę być tylko Twój – odpowiedział łagodnie.

Gwiazdy i słońca śpiewały nad plażą.

***

Powiadomiony przez proboszcza o zdarzeniu udałem się od razu na miejsce z kapralem. Oględziny przeprowadzono w świetle naturalnym, dziennym, temperatura +3 stopnie, padająca mżawka, mgła, widoczność dobra.

Na ławce obok kaplicy zauważyłem dwóch osobników płci męskiej w wieku różnym. Z lewej strony leżał spity do nieprzytomności Marian J. i stanowczym tonem wydałem spitemu do nieprzytomności polecenie, aby natychmiast zmienił miejsce wylegiwania się. On odpowiedział mi bełkotliwie, że nie zna przykazania, które by nakazywało mu stać na baczność pod kaplicą i beszczelnie leżał dalej. Z prawej strony leżał jak zwykle obok ławki znany mi Janusz Z. Miał spodnie opuszczone do kolan i juwenalia na wierzchu. Wymienionego obywatela nie legitymowałem, gdyż znam go osobiście, a i tak wymieniony nie nosi przy sobie dowodu osobistego, więc legitymowanie nie miałoby najmniejszego sensu. Podany mu probierz trzeźwości nie zmienił koloru warstwy wskaźnikowej, ponieważ Janusz Z. nie był w stanie nadmuchać probierza. Podczas służbowej interwencji koło kaplicy będący w stanie nietrzeźwości Marian J. powiedział do mnie i kaprala, że obaj jesteśmy głupsi niż ustawa przewiduje. Ponieważ wymieniony nie potrafił dokładnie wskazać, o jaką ustawę mu się rozchodzi, dlatego byliśmy zmuszeni użyć w stosunku do Mariana J. pałki służbowej. Z kolei rozpytywany Janusz Z. nie widział anioła ani niczego, bo leżał twarzą do ziemi.

Na miejscu ustaliłem, że kościelny Kazimierz M. to mężczyzna bez zawodu i bez przynależności partyjnej. W miejscu swego zamieszkania Kazimierz M. cieszy się bardzo dobrą opinią. Wprawdzie w czasie pochodu pierwszomajowego rzucał spojrzenia antypaństwowe, a czasami upija się do nieprzytomności, ale leży wtedy spokojnie na drodze i nikogo nie zaczepia. Kazimierz

M. wielokrotnie wzywał już tutejszą milicję w osobach mnie i kaprala, bo jest straszony przez ludzi, którzy posiadają skrzydła i latają nad jego domem. Zaprzecza każdorazowo, jakoby to byli sąsiedzi. Przed kaplicą, na rozsypanym piasku, stwierdziłem ślady. Nie można było rozpoznać, czy to ślady człowieka, czy anioła. Musiały to być jednak ślady człowieka, gdyż po wejściu do kaplicy na miejscu zdarzenia ujawniono na posadzce ślady błota pochodzące najprawdopodobniej od czubków butów ludzkich. Dla potwierdzenia tego faktu zdjąłem pijanemu do nieprzytomności Marianowi J. mocno znoszony lewy but marki Chełmek, koloru prawdopodobnie czarnego, rozmiar 42, i przyłożyłem do wyżej wymienionego śladu, do którego pasował on jak ulał. Ponadto nie stwierdziliśmy z kapralem obecności nieznanych istot, sąsiedzi też nie widzieli żadnych latawic oprócz ptaków i samolotów. Podkreślam, że patrol pieszy nie jest w stanie w żaden skuteczny sposób ująć i zatrzymać uciekającego anioła. Dlatego stwierdziłem, że zdarzenie nie miało miejsca, a tylko pijacy w kaplicy trochę narozrabiali i proboszcz z kościelnym niepotrzebnie złożyli doniesienie.

***

Stok, pokryty nieregularnymi kamykami, lśnił w promieniach zachodzących słońc. Przeważały owalne, koloru zielonego i – prawie sześcienne – w antracytowym odcieniu: zielono-czarny kobierzec wśród czerwono-żółto-białej drobnicy. Alfred rozpędził się delikatnie i lekko pomknął w dół zbocza – spod butów tryskała wielokolorowa fontanna, a zimny pęd szarpał różowo-szarymi skrzydłami. Na końcu stromizny, tuż przed białą granią, wybił się niczym narciarski skoczek.

I zniknął.

Bolechowice, lipiec 2019

11.01.2019/DLA PRZYJACIÓŁ

śnieżny wieczór już
anieli wszyscy posnęli
znowu tak trudno zasnąć
w białej zimowej pościeli

drobne płatki śniegu
jak te gwiazdy małe
spadają za oknem cicho
cicho sza nieustałe

przyjaciele to właśnie
o was tej nocy chcę śnić
w gwiazdy z wami ulecieć
wśród aniołów się skryć

bo jak anioły jesteście
anioły nielękliwe
marzeń naszych pełne
dobrych uczuć chciwe

chwilom sens dajecie
i domów drzwi otwarte
gdy skrzydła opadają
dłonie podacie uparte

jeśli jesteście

1.10.2019

przenikliwy ten wiatr
on
ja
i trzy lipy
jeszcze zielone
ale nie tak bardzo

z lip
mijają mnie liście
jeden liść
jedna dusza

pełno ich
na ścieżkach
na marmurach
na zapomnianych

nie palę świeczki
nie
nie palę

kocham te listki
miękkie i ciche
one
jak te dusze upadłe
lub
zapomniane

7.12.2019

żałujesz
że nie zdążyłeś porozmawiać
z kimś ważnym
matką dziadkiem babcią
ojcem siostrą kuzynem
może przyjaciółką

a jeśli zdążyłaś
też żałujesz
bo tylko odrobinę
nie o tym co ważne
w każdym razie
niewystarczająco
za późno
albo
za wcześnie

nasze
dzisiejsze smutki
to wczorajsze
niedopowiedzenia

29.04.2020/CIERPLIWE MIŁOŚCI

targ w oświęcimiu
jesienny wspominam
to było w czwartki
na skromnym rynku
a może tylko
tak mi się zdaje

co tu wspominać
może ciastka u kołaczkowej
kremówki i ponczowe
co wspominać
nic tu ocalić się nie da
może twe usta jagodowe

licealne wielkie miłości
próbuję wspominać
miłości zapomniane
że minęły
nasza wielka wina

miłości wyblakłe
a wciąż jak żywe
miłości zielone
czekają w nas

cierpliwe

14/15.06.2020

chyba nie masz wątpliwości
że dzisiaj piję
piję dobrą whisky
bo zawsze lepiej niż podłą
pić dobrą
zwłaszcza w podłej chwili

chwile są zawsze
nie na miejscu
dobre w podłym
albo
podłe w dobrym
ot
taki paradoks
czasoprzestrzeni
i
nic na to
nie poradzisz

pora zawiązać
co rozwiązane

© Copyright by Wydawnictwo Poligraf, 2020
© Copyright by Adam Stawowy, 2020

Wszelkie prawa zastrzeżone.
Żaden fragment tekstu nie może być publikowany
ani reprodukowany bez pisemnej zgody wydawcy.

Skład i łamanie: Aleksandra Mikołajko, Wojciech Ławski

Projekt okładki: Aleksandra Mikołajko, Adam Stawowy

Ilustracje: Alicja Kuczyńska

Opieka redakcyjna: Klaudia Dróżdż

Korekta: Joanna Myśliwiec, Monika Doskocz-Kupis

Książka wydana
w Systemie Wydawniczym Fortunet™
www.fortunet.eu

ISBN: 978-83-8159-386-1

Wydawnictwo Poligraf
ul. Młyńska 38
55-093 Brzezia Łąka
tel./fax (71) 344-56-35
www.WydawnictwoPoligraf.pl